

Pogawędka niedzielna

Obrona biurokracji

Rozpięte dotąd nad biurokracją jasnym błękitem niebo zaciągnęło się w ostatnich czasach chmurami. Pierwszy grom padł z najwyższej trybuny, hucząc kilku dosadnymi powiedzianiami w mowach pana premiera i wicepremier. Po piorunie — wbrew wszelkim przyzwyczajeniom fizycznym — zalsnia błyskawica... niższe pensyjnych. To do tknęło już nietylko pewien odłam urzędników, zwanych biurokrata-mi, lecz ogół pracowników państwowych. Nie zdążyli oni jeszcze jako tako przyjść do siebie po tej spodziewanej niespodziance, gdy lunął na nich ze szpalt prasy wszelkich odcieni ulewny deszcz narzekan na sposób urzędowania, na dokuczliwość, drobiazgowość i t. d. i t. d. Za prasą poszła publiczność i sieć biurokratyzm ostreimi słowami, jak gradem.

Jesień jest piękna, listopad uśmiecha się do wszystkich ciepłymi uśmiechami melancholijnych dni, lecz nad biurokracją wyje wiher i huczą gromy...

Kto ją ogrzeje, kto utuli nie-szczęsną?

Długo się nad tem zastanawia-łem, a nie widąc nikogo, kto by zechciał skruszyć kopie w jej o-bronie, postanowiłem sam to uczynić.

Niechaj nikt nie myśli, że ro-bię to dla oryginalności, niech nikt nie przypuszcza również, że wstąpiłem w szranki powodowany miłością dla P. T. Potentatów z za zielonego stolika.

Wcale nie! Inne to powody skłoniły mnie do rozpisania się na temat nieśmiertelnych biurokratów... A jakie, to się za chwilę okaże...

Ponieważ obrona będzie długa, a może nawet zawiła, pozwolę sobie przystąpić do rzeczy z pewną metodą naukową i systematycznością. Przedewszystkiem pierwsze pytanie: Kogo nazywamy biurokratą?

Oczywiście nie każdy urzędnik zasługuje na to imponujące miano... Nie zasługuje na nie nawet ten, którego mózg wypełniony jest po brzegi zamiast myślenia i lo-giki paragrafami przepisów, czyli powiedziałem obrazowo — takie-mi... precelkami twórczości zielono - biurowej. Mówię precelka-mi z tego względu, że znak „S” przypominają nieco precelki. Otóż śmiem twierdzić, że mianem biurokraty obdarzyć można jedynie takiego pana, który nietylko że po siada precelki w głowie, lecz któ-remu interesanci życzą z głębi duszy, iżby mu jakieś wyższe siły nogi na prele powyginały. Taki znienawidzony, dokuczliwy pan jest dopiero prawdziwym stu procentowym biurokratą.

Jeśli, biedny pan, masz do czynienia z poważnym urzędnikiem, to przedewszystkiem mo-żesz, acz z trudem, wyciągnąć je-go myśl poza las paragrafów i pospacerować z nią po odległych od wszelkich urzędów łakach lo-giki i zdrowego sensu... Po dru-gie zaś można go skłonić, żeby z dwóch „odnośnych” paragrafów lub interpretacji wybrał mniej złośliwy. Ze stuprocentowym biurokratą nie nie poradzisz! Słucha cię sztywno wyprostowany, odzia-ny w pancerz przepisów, którego nie przebieje żadne logiczne dowo-dzenie — lśniły „na spokojny i nieporuszony i wybiera zawsze najgorszy dla ciebie jako „stro-ny” przepis, a trzyma go się z ta-kim uporem, że jedyną bronią przeciw niemu jest: ciche i poboż-ne westchnienie:

— A niechże ci bogowie nogi w obwarzanki powylamują!

Taki to stuprocentowy biuro-krata wyczynia przedziwne rze-czy, buduje niebotyczne gmachy głupstwa, robiąc to zawsze z po-wagą i bez uśmiechu... On to np. w ostatnich czasach tak świetnie „urzędował” w znanej nietylko u nas, lecz i w Niemczech spra-wie pewne, kapelusza.

Rzecz tak się miała w skróce-niu:

— Jechał sobie pan X kurjerem, Warszawa — Paryż i podczas przejazdu przez Niemcy poszedł do wagonu restauracyjnego na posiłek. Potem wrócił do prze-działu, rozłożył gazetę i czytał ją od deki do deski. Lektura mu-niała być bardzo zajmująca, bo dopiero na terytorium francus-

kiem spostrzegł, że zgubił kape-lusz. Najoczywistszym było, iż zo-stawił go w wagonie restauracyj-nym, który niestety odczepiono na granicy.

Po powrocie do kraju poinform-mował się, że sprawę rzeczy za-pomnianych w pociągu załatwia w Niemczech biuro z siedzibą w Kolonii. Napisał więc tam o swym nieszczęsnym kapeluszu, a otrzymawszy odpowiedź i prze-kaz, ruszył na pocztę z takim za-dwoleńcem. Jak sztabak na pierw-szą randkę w życiu. Nie wiedział, że krok w krok suną, skradają się za nim, stąpają jak duchy od-powiednie paragrafy odpowied-nich przepisów.

Na żądanie wydania swej wła-sności podsunęto mu pod nos pa-ragraf, żądający opłaty cła, ja-ko że kapelusza przywiozła z Niemiec paczką, a nie na głó-wie petenia. Zawrzał bój logiki z paragrafem, w którym to boju o-czywiście paragraf rozgromił lo-gikę w proch i pył, pozostawia-jąc jednak petentowi możliwość złożenia odpowiednio ostemplowa-nego podania do odpowiedniego urzędu. Odpowiedni urząd od-powiednio kiwał głową nad od-powiedniem podaniem w ciągu trzech miesięcy i dał odpowiedź, że jednak można odpowiedni ka-pelusze zwolnić od odpowiedniego cła.

Wpakowawszy odpowiednią od-powiedź pod pachę, udał się pe-tent — teraz już dużo mniej pew-ni siebie — na pocztę. Alé i tym razem nie przystroił głowy w stęsknioną za nim, wierną kape-luszną. Dlaczego? Bardzo proste! Kapelusik leżał trzy miesiące i o-siem dni na pocztce, więc według odpowiedniego paragrafu oddał się tylko po opłaceniu odpo-wiedniego składowego. Można zresztą złożyć odpowiednio oszem-plowane podanie do odpowiednie-go... i tak dalej, da capo al fi-nem... Co się dalej działo, długo-by mówić, ale nie uczynię tego, Tyle wystarczy jako przykład po-stępowania takiego „ef, ef” biuro-kraty, którego obrony podją-łem się w tym feljetonie.

Oto do niej przystępuję... Kie-dy się rozglądam po ludziach, to widzę, że przynajmniej 90 proc. mych współobywateli ma cudow-ne zadatki, na wspaniałych biuro-kratów. Człowiek bowiem w o-gólności, a już mieszkaniec wielkiego miasta szczególnie, to jest także sympatyczne stworzenie, które, łącząc po tej małej kuli-ce zwanej ziemią w ciągu lat sześćdziesięciu, przez cały czas myśli tylko o tem, czemu się tu zakarbować w pamięci bliźnich, jakby się wyróżnić. Polewa go deszcz, owiewa wiaterek, reu-matyzm wykręca mu stawy, los go wali po łbie, a on bez końca kombinuje, że jest centralną fi-gurą świata. Mało kto jest wolny od tego złudzenia! Popatrzcie na tego pana, który puszy się w

tramwaju, bo założył nowy kra-wat, przypomnijcie tego innego, któregoście w pośpiechu potraci-li. Przecież zrobił wam tak pie-kiełną awanturę, jakby od spo-koju jego odcisku na małym, pal-cu lewej nogi zależało pokój Eu-ropy... Oni się chcą wydać, od-znaczyć, pokazać! A teraz usadźcie ich za jakimkolwiek biur-kiem i pozwólcie urzędować. Bo-że mój! Dopiero dadzą się we znaki, dopiero się będą puszyć, nadymać, pokazywać swoje ja! Im złośliwszych na petenta do-będą paragrafów, im więcej mu do-kuczą — tem większe oiągną po-czucie swej ważności.

To, co przed chwilą wyuszczy-łem, jest obroną wewnętrzną strony biurokraty — obroną tej duszyczki, zawiędej i wyschlej między aktami na błądy arkusz-urzędowego kawałka papieru. Mam wszakże inne argumenty, których rozwinięcie stanie się nietylko obroną biurokracji, lecz również projektem obrony przed biurokracją, którą nam, szarym ludkom, tyle drzazeg wbiła za pa-znocię.

Podczas załatwiania każdej u-rzędowej sprawy są obecne przy-najmniej dwie osoby, t. j. taki je-gomość z jednej strony okienka i taki pan z drugiej strony. Ci dwaj panowie zawsze patrzą na siebie koso, trzeba bowiem przy-znać, że publiczność też często chandryczy bez słuszności. Nad temi dwoma stronami wiśi jak siekiera paragraf przepisu, gotów każdej chwili gilotynować pro-stą, szczerą logikę. Te bezsen-sowne przepisy należy napadać, obalać, wywracać, a przynaj-mniej wytykać, a wtedy może, ja-ko tako odetchnięmy.

Jechałem niedawno wypełnio-nym po brzegi pociągiem. Zda-nia: „Posuń się pan!”, „Gdzie, na-głowę wleżę?”, „O, świni, gdzie to rękie wytkną!” i podobne tymi, lotne powiedzonka krzyżowały się w powietrzu, jak światła noc-nych reflektorów. Trzymając się kureczowo pasa od okna, tkwiłem

bohaterko na platformie trzeciej klasy w ciągu dwóch godzin. Po-tem ręce mi zmartały i zosta-łem wypchnięty do korytarza kla-sy drugiej. Nieszczęście chciało, że w dziesięć minut zjawił się konduktor i skrobnął mi karę za to, że zajmuję miejsce w klasie drugiej, posiadając bilet trzeciej. Tłumaczyłem, przekonywałem, lecz oczywiście nic nie pomogło. Zapłaciłem!

Czy konduktor był stuprocento-wym biurokatą, dokuczliwym? Wcale nie! Dobroduszny grubaś, człowiek z humorem, ale posłusz-ny wykonawca przepisu... Nie je-go powinny osiągnąć gromy pa-na premiera. One powinny runąć na niezgodne ze zdrowym sensem przepisy i spalić jak błyskawice przynajmniej ich połowę.

Jak dojdę jednakże, które prze-pisy są życiowe, a które nie? Bardzo prosto! Dajcie obywatelom możliwość łatwego wnoszenia rekursów i załatwiającie je szybko i sprawnie, a nie całemi latami! W każdym urzędzie pośród ma-szyniek od paragrafów, syplących przepisami jak automatami za-na-ciśnięciem guzika, niechaj znaj-dzie się chociaż jeden człowiek. To jest taki pan, który odłoży na bok przepisy i będzie wysłuchiwał zażaleń, wniosków w ich treść ży-ciową.

Puszczam wodzę wyobraźni i już widzę jak dzięki tej reformie obywatel nabrał ufności do urzę-dników, jak wszystko sunie sprawnie i gładko. Wprawdzie pesy-mista krzyczy we mnie, że wy-działy rekursów i zażaleń same się wmg zburokratyzują, a wów-czas biurokracja chwyci za łeb biurokację (widowisko wcale ucieczne), lecz sądzę, że bez wtło-czenia w życie urzędowe logiki jako przeciwwagi paragrafów — wszelkie zanowidzi rządowe po-zostaną mniej lub więcej dobrze wygłoszonymi mowami i niczem więcej.

Po mowach do czynów, pano-wie!

Jan Waśniewski.

Od Administracji

Z d. 25 b. m. rozpoczynamy sprzedaż ABC-Nowin Codzien-nych w Urzędach i Agencjach pocztowych na terenie woję-wództw: Białostockiego, Łódzkiego, Nowogródzkiego, Poles-kiego, Warszawskiego i Wileńskiego.

Rozmowy na tamtym świecie

Sluchowisko radiowe

Jeden z najsłynniejszych pisa-ryz greckich Lukian, trochę sofi-sta i filozof, ze wszystkich epok wsta życia pozostawił pamiętki w swych licznych dziełach. Najwięk-szą wartość literacką posiadają dialogi w stylu Menipa, który pierwszy wprowadził do literatu-ry greckiej dziwną formę lite-

racką złożoną z prozy i wiersza.

Jedno z pierwszych miejsc wśród dialogów Lukiana zajmu-ją „Rozmowy zmarłych”. Frag-ment z tych dialogów nadaje ra-djostacja wileńska dziś, w nie-dzielną, o godz. 13.00 w opracowa-niu prof. U. S. B. St. Srebrnego, na wszystkie rozgłośnie polskie.

Z muzyki

E. Cooper i G. Neveu w Filha monji

„Modernizacja” muzycznych gustów Warszawy stoi wciąż ra-martwym punkcie. Awangardowe pozycje repertuaru symfoniczne-go kończą się na... Ryszardzie Strausie, sięgając wyjątkowo do Strawińskiego... ale z najwcześ-niejszego okresu jego twórczości. „Pietruszkę” lub „Ptaka Ogniste-go” znamy już prawie na pamięć, jako dawne, niemal klasyczne dziś, utwory. Poczynając od „Świ-ęta Wiosny” aż do wykonanego przed paru dniami w Paryżu no-wego koncertu Strawińskiego na dwa fortepiany, obfity dorobek tego najwcześniejszego ze współcze-snych kompozytorów, jest w War-szawie zupełnie nieznany. A prze-cież od chwili skomponowania „Święta Wiosny” do roku obecne-go stworzył Strawiński długi szereg epokowych i wielkich dzieł, że wymienię tylko „Apollona” (na smyczkową orkiestrę) grane-go przez wszystkie wybitniejsze orkiestry świata, „Symfonję „Psal-mów” — jedno z arcydzieł współ-czesnej muzyki religijnej, „Wese-ł” — najbardziej syntetyczne dzieło geniusza Strawińskiego, „Historię Żołnierza”, „Oktet”, „Symfonję na dęte instrumenty”, „Pulcinelle” „Suity” „Capriccio” i jeszcze wiele innych.

Cóż z tego, że usłyszeliśmy po-raz nie wiem który osławioną „Pietruszkę” w bardzo dobrej choćby interpretacji Emila Coope-ra, kiedy to nas kulturalnie nie napróżd nie posuwa. Konstatuję natomiast, że „Przygody Sowiz-drzała” były już trzecim czy czwartym utworem R. Straussa, wykonanym w bieżącym sezonie w ciągu niespełna półtora mie-siaca. Czy to nie przarost? Czy aby nie manja? Wszakże mógłby tej miary gość z Zachodu, co p. Cooper, przywieźć ze sobą jakie takie choćby nowości, a nietylko ograne szlagiery lub najlepszą Symfonję popularnego i błysko-łistego autora „Ucznia Czarno-księskiego” p. Ducas’a. Albo ura-czyć nas... Rytmem! Co za nie fortunny pomysł i pocią taki Kor-sarz był potrzebny w programie?

O solistce wieczoru, p. Ginette Neveu, pisałem już obszerniej z okazji jej recitalu w sali Konser-watorium. Dodam obecnie tylko, że młodociana skrzypaczka zagra-ła koncert skrzypcowy Sibeliusa z dużą perfekcją, świadczącą, że ta, wysoce utalentowana wir-tuozka rozwija się nadal, nie po-przeżdając na osiągnięcia przez nią sukcesach artystycznych.

Michał Kondracki.

Radio Philipsa

„947A”, „14A”, 525A”

„ŁUCZNIK”

— Na raty — Traugutta 2

Polacy usunięci

z granic Czechosłowacji

Urzędowa Polska Agencja Te-legraficzna rozesała do prasy komunikat tej treści:

W ostatnim czasie władze cze-skie wydalły z Czechosłowacji szereg obywateli polskich w oko-licznościach szczególnie krzywdzą-cych ofiary tych zarządzeń. Oto lista wydalonych:

Marja Golińska, 70-letnia wdowa po górniku polskim, która przebywała na Śląsku 53 lata i nie była ciężarem dla opieki spo-łecznej.

Andrzej Piwowarczyk, górnik polski, zam. w Marjańskich Gó-rach. Piwowarczyka aresztowa-no i pod eskortą żandarmerji ode-słano do granicy polskiej. Ojciec Piwowarczyka jest emerytem gór-niczym i mieszka w Marjańskich Górach od czasów przedwojen-nych.

Jan Masiuga, robotnik rolny, który przebywał na Słowacyźnie od r. 1913, gdzie się ożenił i wy-budował domek mieszkalny war-tości kilku tysięcy koron cze-skich. Masiugę bez żadnego upr-zedzenia aresztowano i z żoną i dzieckiem pod konwojem żandar-merskim odstawiono do granicy. Majątek Masiugi pozostał bez

żadnej opieki. Żandarmi nie ze-zwolili nawet na zabranie rucho-mości.

Józef Tomasik, robotnik, uro-dzony w Zabrzeżu koło Moraw-skiej Ostrawy. Przed wydale-niem Tomasik zatrzymany był w aresztach policyjnych.

Eliza Szulcówna, robotnica, zamieszkała w Jabłoneckich Pa-siekach od r. 1901, która pracu-jąc w fabryce wyrobów elektrycz-nych doznała uszkodzeń twarzy i straciła częściowo wzrok. Gdy wniosła skargę przeciwko firmie o odszkodowanie, otrzymała za-wiadomienie o wydaleniu z Cze-chosłowacji. Szulcównie nie po-zwolono zabrać ubrań i rzeczy domowych z umotywowaniem, że pozostają one jako zastaw koszt-ów wydalenia.

POWAŻNE TOWARZYSTWO

UBEZPIECZEŃ

poszukuje ludzi zdolnych i energicz-nych, którzy po przejściu właściwe-go przeszkolenia zostaną zaangażo-wani jako pracownicy i pracownicy akwizyjni. Duże możliwości zarob-kowe. Oferty z referencjami pod R. M. kierować do Biura Ogłoszeń „La-rum” Warszawa, Królewska 1.

Z plastyki

„Zwornik” i „Przymat”

Ktoś powiedział o wystawie „Przymatu” w IPS-ie: to drożdże, z tych drożdży dopiero coś wyros nie. Wyrośnie — jeśli „przymatowcy” zechcą nietylko malować, ale i myśleć. Jeśli potrafia, od czasu do czasu, poddawać swe po-glądy artystyczne rewizji i pa-trzeć na swe obrazy nie z perspek-tywy długości pendzla, a z dal-szej i szerszej: uczestnictwa w bu-dowie kultury narodu. Jestem pe-wien, że po przeczytaniu tych słów niejedną mruknę pod nosem „oho, na kazałnicę wlać!”.

Dla tych mam argument: si-
hacie dalej cierpliwie, bo zagadnienie, o którym myślę, łączy się również ze sprawą bytu materialnego ar-tystów. Na ostatniej wystawie IPS-u byłem kilkakrotnie i, oprócz paru znajomych artystów, nie wi-działem, z publiczności, nikogo. Oczywiście możemy psioczyć: „zaścianek, psiakrew, kulturerja, „kultura” w tej Warszawie, na knajpę i dziesięćki to mają, a na sztukę nie!”... i tak dalej. Ale czy to co pomoże? Gdy jest źle, szukamy przyczyny zła, ale dla-czego tylko po tamtej stronie

publiczności? A możeby tak zro-

bić rachunek sumienia i dla od-miany — swego. Sprawdzmy treść artystyczną wielu wystawionych teraz w IPS-ie obrazów.

Oto np. niezupełnie młody jego mość (z krakowskiego zrzeszenia „Zwornik”), wpadł na pomysł, nie co spójniony, kocietowania nie-noweltem i robi „pod dziecko”. Parę kolorowych plam, kilka kul-fonów i obraz gotów. Oto jedna z artystek w najbardziej niechlujny sposób zamazała parę barwami płótno i nazwała to pejzażem. Przypuśćmy, że wymienione utwo-ry wykazują pewien smak w ze-stawieniu barw, czy samo ujawnie-nie tego smaku (w próbie ze-stawień), można nazwać dziełem sztuki, obrazem? Skończmy nare-zście z tą blagą: trzeba powie-dzieć głośno i otwarcie: czystowa-nie publiczności podobna strawa, żądanie od niej zainteresowania dla takiej „sztuki” jest swego ro-dzaju bezczelnością. Wymieniamy się nieraz z rozmaitymi ramol-ciołw w Zachęcie, ale należy to so-bie uświadomić, że postępując po-dobnie pcha się poprostu publicz-ności w ich objęcia. Tym sposobem ci, którzy się mają za przednia

straż naszego malarstwa, sami się przyczyniają do szerszenia kultu-rstwa.

Przed chwilą właśnie otrzyma-łem „Prosto z Mostu”. Sympatycz-ny, młody staruszek, p. Jan Baj-kowski, w swojej recenzji, pisząc o „Zworniku”, powiada, że są tam, oprócz postaci słabszych, „jedno-stki o niepospolitym nerwie, kul-turze i talencie”. Tem gorzej — jeśli mają tak cenne dane, dziw-ne, że ich nie spożytkowują w po-ważnej pracy artystycznej. Jeden zaledwie Cz. Rzepiński wykazuje rzetelny, rzeczowy i głębszy sto-sunek do pracy. Czy przepadam za tego rodzaju malarstwem, to już moja rzecz, ale trudno mi nie szanować ambicji kzepińskiego, dzięki nim jego obrazy zasługują na uwagę.

Choć nie tak nonszalancki, jak wielu innych jego kolegów, jest Gerzabek zaledwie nieszkodliwy. Dość jednak jego płótna porów-nać z dziełami Larischa, by prze-konać się o zupełnej ich pustce. Wybiercie sobie z dowolnego miejsca tych płócien 10 centymetrów kwadratowych, każdy z tych małych kwadracików nie wam nie będzie mówił, gdy tymczasem u Larischa każdy centymetr jest pełen treści malarzkiej.

A więc panowie „przymatowcy” nie idźcie w ślady „Zwornika”. W waszych pracach, nawet tych

mniej udanych, znać pewną świe-żość i dobrą wolę bardziej grun-townego przerabiania zadań ma-larskich, niż to ma miejsce u wie-lu artystów „Zwornika”, jakby zu-pełnie nieodpowiedzialnych w tem, co czynią. Poza troską o ko-lor, widać tu nieraz chęć podda-nia obrazu pewnej dyscyplinie u-kładu, która go stawia na przed-prozu kompozycji. Po zębciu pozycyji kolorystycznych, nie od rzeczy będzie zadać o rozszerze-nie ram tematologicznych obrazu, gdyż im pełniejszy jest świat, za-garnięty przez artystę na płótno, tem pełniejsza, w ujawnieniu, do niego stosunku, wypowiedź arty-styczna. Im bardziej obraz uwzględ-nia całość, możliwych w nim do rozwijania zagadnień, tem więcej zyskuje artysta szans nawiązania kontaktu z widzem, bez kompro-misów i ustępstw na rzecz mniej wybrednych upodobań. Trzeba so-bie widza wychować, by go zdobyć dla sztuki.

Tymczasem z grona przymatow-ców musimy wymienić: Adwentow-cza, z jego pejzażem o staro-świeckim nastroju i nieco ku temu nastrojowi skłaniającem się ujęciem; najlepszy bodaj pejzaż, J. Studnickiego, p. t.: „Ogród”, do-brze narysowany i subtelnie prze-prowadzony w kolorze; dalej kra-jobraz z Nowego Miasta, Adama Kossowskiego, o ostrym kolorycie,

w którym artysta starał się zaob-serwować gamę pejzażu podmiej-skiego. Szczęśliwe zestawienia ko-lorystyczne znajdziemy pozatem w niektórych partjach pejzaży So-kołowskiego i J. Wodyńskiego.

Pozatem wystawia pan Win-kler, krytyk.

Wiktor Podolski.

W grudniu zostanie otwarta w Instytucie Propagandy Sztuki wy-stawa stowarzyszenia polskich art. - grafików „Ryt”. Już dziś wiadomo, iż wystawa została obe-słana nader liczytelną i będzie wierała szereg pierwszorzędnych drzeworytów naszych najwybit-niejszych grafików, z którymi czy-telnicy „ABC” mieli możliwość za-poznać się podczas subskrypcji drzeworytów.

IPS w tym roku zamierza, za-miast Dorocznego Salonu, urzą-dzić dwie wielkie wystawy: jedną artystów, zrzeszonych w „Bloku zawodowych art.-plastyków”, dru-gą — „Związku zawodowego pla-tyków”. Na obu tych wystawach będą przyznane nagrody i dopiero z dzieł wyróżnionych utworzy się, drogą eliminacji, właściwy salon, trzeci. Czy nowy ten pomysł, ta-kiego segregowania artystów na wystawach, okaże się słuszny i po-zyteczny — przyszłość pokaże.

W. P.